ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 64

Nr. 22. Warszawa, 2 (15) listopada 1901 r. Rok III.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



ABY DO KRZAKÓW!

Wyprawa myśliwska do Sudanu

przez

Jana Sztolcmana.

(Dalszy ciąg).

Wymarsz nasz z Abkuku naznaczony został na dzień następny, więc też po południu, gdy żar słoneczny trochę osłabł, wziąłem mych chłopców i poszedłem do dżungli. Pod zachód słońca powróciłem do obozu, przynosząc piękny egzemplarz *baszmata*. Postrzeliłem też ciężko *morę*, lecz moi chłopcy, mimo strasznych wysiłków, dogonić jej nie mogli.

Przestrzeń pomiędzy Abkukiem i Harunem była krańcem terenu, na którym się można było spotkać z bawołami; więc też Hrabia chciał jeszcze raz skorzystać z tej ostatniej szansy i wyruszył wczesnym rankiem dnia 1 marca naprzód w towarzystwie swych shikarich, łudząc się nadzieją, że po drodze trafi jeszcze na świeże tropy tych zwierząt.

Ja z karawaną miałem później wyruszyć, aby ruchów myśliwych nie krępować. Gdy więc się obliczyłem, że Hrabia dostatecznie się oddalił, wyruszyłem z miejsca obozowania; lecz zaledwieśmy zrobili wiorstę drogi, gdyśmy w dali na łące spostrzegli naszych myśliwych, idących widocznie po tropach. Zatrzymałem cały obóz i sporą chwilę wyczekałem, poczem ruszyliśmy dalej. Wkrótce też przekonaliśmy się, że Hrabia w samej rzeczy posuwa się po świeżutkich tropach stada bawołów. Szły one ciągle samą drogą, aż dopiero po jakiej półgodzinie spostrzegliśmy, że skręcają w głąb dżungli. Puściłem się z moją drużyną dalej, strzelając ptaszki do kolekcyi.

W połowie drogi do Harunu, Ibrahim, który tuż za mną prowadził mego konia, rzekł nagle: „Pasza". Sądziłem, że to Hrabia, który wyszedł na drogę po niefortunnem tropieniu bawołów, lecz spostrzegłem na zakręcie dwóch europejczyków, jadących konno, a za nimi dwóch innych na wielbłądach. Zmiarkowałem odrazu, że to musi być ks. Arenberg. Zrównawszy się przeto, uniosłem kapelusza i zapytałem:

— Prawdopodobnie mam szczęście rozmawiać z ks. Arenbergiem?

— Tak jest—odpowiedział mi grzecznie dwudziestokilkoletni młodzieniec o typie angielskim, czy flamandzkim, wyciągając do mnie rękę.

Zarekomendowałem mu się, poczem on mi przedstawił towarzysza swego, hrabiego Le Marois, otyłego i czerwonego mężczyznę.

Zaczęły się obustronne zapytania. Jak się okazało, panowie ci, oprócz małych gatunków antylop, nic dotychczas nie zabili. Książę narzekał bardzo na Anglików, którzy mu wytknęli mniej więcej tę samą, co i nam, marszrutę. Linia, łącząca Gedaref i Roseires miała stanowić wschodnią granicę jego rejonu, więc i on, tak jak my, nie mógł się posuwać do Dindera na szerokości Dissy. Z tej rozmowy naszej widocznem było, że Smyth-bey w swych listach wykręcał się tylko, powołując się na marszrutę Arenberga, który rzekomo miał Dinderem podążać.

Zarekomendowawszy księciu Dissę, jako obfitującą w słonie, puściłem się w dalszą drogę i o godzinie wpół do 10-ej stanąłem w Harunie, gdzieśmy rozbili obóz w cieniu drzew rozłożystych. Hrabia nadciągnął dopiero o godzinie 2-ej po południu, znużony i zrażony strasznie. Z opowiadań jego dowiedziałem się, że tropiąc ciągle bawoły, doszedł stado o godzinie 11-ej, lecz w skutek złego wiatru nie mógł bliżej podstąpić, jak na 110 kroków i z tej odległości strzelił. Bawoły zupełnie tak jak ze mną dnia poprzedniego, ruszyły zrazu, odchodząc, lecz po chwili skręciły prosto na myśliwych, szły jednak kłusa, a nie galopa. Obaj shikarisi powciągali się na drzewa i jeden z nich chwycił już Hrabiego, aby go za sobą podciągnąć, gdy najniespodziewaniej w świecie znany nam już Fadil, nastraszony widocznie szarżą zwierząt, wyskoczył jak głupi naprzód, zaczął wymachiwać rękoma i wreszcie strzelił w powietrze z zapasowego sztucera, który trzymał w ręku. Bawoły skręciły i znikły w dżungli, a byłyby przyszły Hrabiemu pod same nogi. Mogłem sobie powinszować, że dnia poprzedniego nie zluzowałem bezpiecznika w mym mannlicherze, gdyż inaczej Abdallah byłby mi podobną sztukę wypłatał i tak samo musiałbym patrzeć na znikające w oddali, stado. Hrabia był tym wypadkiem bardzo przygnębiony, gdyż była to ostatnia sposobność zabicia bawołu.

— Nigdy w życiu, — mówił mi, — nie uderzyłem w twarz nikogo. A jednak w tym wypadku porwała mnie taka pasya, że mimowoli z całej siły wyrżnąłem w papę tego durnia. Rezultat był taki, że on uśmiechnął się do mnie czule, a mnie ręka dotychczas boli.

Resztę dnia spędziłem na preparowaniu ptaków. Około godziny 5-ej nadciągnęło nad jeziorko stado pelikanów około 50-ciu sztuk. Brzydki ten ptak wygląda w lesie nadzwyczaj majestatycznie, szczególniej, gdy zataczając wielkie koła, zapada na wodę. Ptaki dały nam się zejść tak blizko, że je Hrabia dwukrotnie sfotografował przy pomocy swego aparatu. Dziwnem

Z tegorocznego rykowiska.

— Kto tam? Która godzina? Jak tam na świecie wygląda?

Oto pierwsze pytania, rzucone na pół jeszcze przytomnie budzącemu nas strzelcowi.

— Pół do czwartej — odpowiada — księżyc świeci, wiatru prawie niema, niebo bez chmurki i tak chłodno, że ,zdaje się, przymrozek będzie nad ranem. Pan nadleśniczy dawał znać o drugiej, że na porębie Ł.. i obok na B... od godziny jedenastej silnie ryczą.

Słowa te magicznie oddziaływują. W jednej chwili otrząsamy się z resztek senności, szybka tualeta, wśród ożywionej rozmowy i planów działania, wołanie o konie i w kwadrans stoimy gotowi w sali jadalnej nad przekąską i wódką. Patrząc na trofea z rykowisk innych lat, każdy w duszy do św. Huberta się zwraca i z otuchą w sercu chwyta za sztucer.

Bryczki tymczasem zajechały i wnet, otuleni w ciepłe dachy, wychodzimy przed ganek.

Co za noc!

Jasno, pogodnie, zimno; księżyc wschodzi; lekki wietrzyk szemrze po żółtych już liściach starej lipy, na której potężnym, dolnym konarze jutro, da Bóg, silny jeleń wisieć będzie. Niebo skrzy się od gwiazd. Wielki wóz wskazuje nam drogę.

Co za noc! Niech się Italii schowa niebo, przed tem niebem polskiem, zimnem i wyiskrzonem.

Brat mój, gospodarz, wyznacza mi porębę Ł..., sam będzie obok na B... Towarzysz nasz jedzie pięć wiorst dalej na S.., gdzie od trzech dni dwa silne byki się odzywają.

— Jazda!

Lichą szosą suniemy szparko, nie bacząc na wyboje, po których w kłusie równiej bryczka nosi. Ujechawszy cztery wiorsty, zjeżdżamy z szosy, mijamy pogrążoną we śnie wieś S... i wnet zagłębiamy się szeroką, ale fatalnie kamienistą drogą, w ciemny bór jodłowy. Księżyc jeszcze nizko, więc wśród jodeł kompletnie ciemno, a tylko otworem nad drogą błyszczy szlak gwiaździsty, ułatwiając oryentowanie się. Ze dwadzieścia minut tęgiego kłusa, poczem zwalniamy, wypatrując gajowych, którzy na nas w tem miejscu oczekiwać mieli. Jakoż po chwili błysło coś o sto kroków; ogień podsycony wiązką suchych gałęzi, buchnął wysokim płomieniem i oświetlił cztery postacie, zbudzone

się to wydaje, gdyż pelikan w Europie i w Egipcie należy do najostrożniejszych ptaków.

Wieczorem około 8-ej w chwili, gdyśmy obaj zajęci byli notowaniem wrażeń, ludzie nasi dali nam znać, że widzieli przy świetle księżyca stado bawołów, ciągnące do rzeki. Zostajemy więc na dzień następny w Harunie, gdyż Hrabia raz jeszcze chce spróbować szczęścia na tę upragnioną zwierzynę.

Lecz i w tym dniu (2-go marca) św. Hubert nie chciał na nas spojrzeć przychylnem okiem. Całe przedpołudnie, począwszy od świtu, włóczyliśmy się, każdy na swoją rękę, po dżungli i wróciliśmy, zabiwszy po jednym arielu. Jeszcze gorzej udało nam się po południu, gdyż powróciliśmy do obozu z pustemi rękoma.

Na dzień 3-ci marca naznaczony został wymarsz do Tauli, lecz tak nam żal było porzucić te bawole ostoje, że Hrabia zdecydował się jeszcze zostać do południa. Czasem jedna chwila przyniesie więcej, aniżeli całe tygodnie. Myśliwemu zawsze przyświeca ta nadzieja, gdyż inaczej nie byłby w stanie wytrzymać tak forsownych marszów pod prostopadłemi promieniami słońca.

Poszliśmy więc o świcie, każdy w swoją stronę. Ja wziąłem moich obu shikarich i jeszcze jednego człowieka do prowadzenia osiołka, na którego zresztą wsiadł zaraz mój Mohamed, kulejący ciągle na jedną nogę. Nie liczyłem bardzo na spotkanie z bawołami, zdecydowany więc byłem strzelać do wszystkiego, co tylko spotkam na drodze.

Niedaleko obozu spostrzegłem parę gazelli (*Gazela rufifrons*) i jedną z nich zabiłem na 150 kroków. Była to cielna samica. Gdy ludzie moi zajęci byli patroszeniem i spożywaniem wątróbki, spróbowałem podejść drugą sztukę, która kręciła się w pobliżu, zdziwiona zapewne nieobecnością towarzyszki, lecz zamiast niej, zeszedłem młode koźlę mory (*Oribia montana*), które dobrym strzałem powaliłem. Tak więc w ciągu 5-ciu minut udało mi się zabić 2 sztuki.

Przytroczywszy obie antylopy do osiołka, ruszyliśmy dalej. Po godzinnym blizko marszu, wyszliśmy na obszerną polanę, zarośniętą li tylko trawą, do kolan wysoką. Pośrodku stał jakiś duży zwierz, lecz mu tylko górną część ciała widać było. „Sanhir"—objaśnili mnie łowcy. Był to więc phacocher, ale niezwykle duży. Mimo, że stał od nas na jakie 150 kroków, czy nas zawietrzył, czy usłyszał, bo łeb do góry żadarł i nasłuchiwał. Strzeliłem doń z tego miejsca, lecz zwierz ruszył, a przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, znów przystanął. Strzeliłem powtórnie. Dzik ruszył z kopyta i zniknął mi w gąszczu. Żałowałem potem, żem nie starał się podejść go od strony dżungli, gdyż tym sposobem udałoby mi się może zmniejszyć odległość do 100, a może i 80-ciu kroków. A był to rzeczywiście egzemplarz wyjątkowo wielki.

W dniu tym mieliśmy szczęście do phacocherów, gdyż nieco dalej spotkaliśmy znów całe stado, złożone z 4 sztuk (2 duże i 2 mniejsze), a w powrotnej drodze shikarisi moi prawie że nastąpili w wysokich trawach na wielkiego odyńca, który z hałasem pomknął przed nimi. W obu jednak wypadkach nie doszedłem do strzału.

Około godziny 11-ej wróciłem do obozu, a wkrótce potem nadciągnął i Hrabia. Wnet po śniadaniu karawana wyruszyła naprzód, a w godzinę po niej i my obaj wraz z naszymi łowcami puściliśmy się w drogę. Odtąd w powrotnej drodze szliśmy zawsze za karawaną, ruszając z południowego postoju, doganialiśmy ją zwykle po półtoragodzinnym marszu i przybywaliśmy pierwsi na nocleg. Tylko rano, zwijając obóz, ruszaliśmy zawsze przed karawaną.

O 4-ej stanęliśmy na nocleg w Tauli. Ja strzelałem przez resztę dnia ptaszki do kolekcyi, gdy Hrabia zrobił w okolicy małą wycieczkę, z której powrócił, zabiwszy młodego ariela.

4 marca. Wymarsz o godzinie 5³/₄. O wpół do 10-ej przybywamy na południowy postój do Anmed-Mogit. Włócząc się przy obozie w celu zabicia ptaków do kolekcyi, odkryłem tropy jakiegoś wielkiego drapieżnika. Przywołany Ahmed Idris, orzekł, że są to ślady pantery. Zaschła krew i skotłowana ziemia świadczyły, że straszny ten łupieżca zamordował tu jakąś ofiarę. Poszliśmy za tropami i w odległości kilkudziesięciu kroków znaleźliśmy ukrytego w gęstym krzaku, trupa ariela. Drapieżnik przegryzł mu kręgi szyi, o czem świadczyły głębokie rany po obu stronach karku, poczem wyżarł mu cały jeden bok, poczynając od łopatki, aż do ogona. Była to doskonała okazya do zrobienia zeriby, gdyż zwierz niechybnie powinien był wrócić nocą do swojej zdobyczy. Lecz czas mieliśmy obliczony i spieszyć należało, aby stanąć na 24-go w Kairze. Po śniadaniu więc ruszyliśmy i na nocleg stanęliśmy w Fibnie. Hrabia zrobił jeszcze dnia tego małą wycieczkę, z której powrócił uradowany, zabiwszy najniespodziwaniej wielką antylopę „tetela" (*Bubalis tora*). Mięso jej zostawił na miejscu, gdyż w pobliżu łowcy widzieli pomykającą lwicę wraz z młodym. Gdyby więc w nocy drapieżnik mięsa spróbował, możnaby nań zasiąść dnia następnego. Lecz wbrew oczekiwaniom, lwica do trupa antylopy nie przyszła.

Ranek d. 5-go marca poświęciliśmy obaj na wycieczkę myśliwską w okolicy Fibny. Hrabia wziął ze sobą swych shikarich; do mnie przyłączył się Stefan. Dnia tego mogłem sprawdzić, jak zwierzyna sudańska nie zdaje sobie sprawy, zkąd strzał pochodzi. Ukryty

---

raptem turkotem naszej bryczki, zaspane trochę i zmarznięte.

Meldunek: „na L... ryczały trzy w dwóch miejscach, w tem jeden bardzo grubo,—na B..., niedaleko, 1 silny się odzywał. Przestały temu godzinę, ale jak innych dni, zapewne przed wschodem słońca ponownie ryczeć będą."

— Brawo! a wczoraj czy za dnia z poręb zeszły?

— Szósta była, słońce wschodziło.

Jeszcze lepiej! No Waidmannsheil! (szkoda że równoznacznego i równie ładnego wyrażenia po polsku niema) Waidmansdank, i w drogę, każdy w swoją stronę ze Springerem pod pachą.

Mnie spieszno, bo pochód jeszcze mam daleki. Mijam wnet porębę B..., na której brat mój szczęścia ma próbować, i szybkiem idę tempem, gdy wtem jeden z dwóch gajowych, towarzyszących mi, staje i nasłuchuje. Daleko, na minionej porębie słychać kilkakrotnie urywany ryk—ponury w tej nocnej ciszy i przejmujący do szpiku kości, a tak słodki dla ucha myśliwego.

Ale naprzód, naprzód, wielki czas, bo już niebo od wschodu blednąć zaczyna.

I w milczeniu posuwamy się dalej, ostrożnie, bo linia pełna głazów piaskowca, błotnista miejscami, miejscami jasna od blasku księżyca, znów ciemna wśród jodeł, że oko wykol.

Po kwadransie, zaczyna się z prawej strony dziesięcioletni zagajnik i wnet biały słupek, oznaczający wejście na podchodową ścieżkę. Niedaleko już; czas działać.

Następuje krótki dyalog szeptem. Zalecam gajowym, by jaknajciszej dalej po linii się posunęli i obstawili znane mi, dwa dobre weksle nad porębą.

— Ale cicho, bo wiatr będziecie mieli zły. Rozumiecie?

— Rozumiemy! O, zeby tak Pon Bóg doł.

— No dobrze, dobrze, dziękuję. Ruszać.

Skręcam ścieżką w zagajnik i ostrożnie, zwolna posuwam się naprzód, bacząc na każdy stawiany krok. Poręba blizko, więc choć buty na gumowych podeszwach nawet po kamieniach mało robią hałasu, jedna nieuwaga wszystko może zepsuć.

Rój myśli! Urok księżycowej nocy, fantazyjne widziadła w półcieniu, samotny pochód, wyczekiwanie, naprężenie wzroku i słuchu—wszystko to rozkosznym dreszczem przejmuje, a swoją drogą, w tem pewnem podrażnieniu, a zarazem skupieniu wewnętrznem pełną piersią się oddycha i pełną piersią żyje. Kto tych uczuć nie doznał lub doznać nie jest w stanie, ten chyba najpoetyczniejszych kartek nie przecina w książce

za gniazdem termitowem, strzeliłem na jakie 200 kroków do jednego z pary arielów, stojących na środku polany. Po chybionym strzale obie antylopy puściły się prosto ku mnie, podbiegły na jakie 60 kroków i stanęły. Ja tymczasem szybko nabój zmieniłem i na ten blizki dystans położyłem trupem jednego z pary. Byłbym prawdopodobnie sprzątnął i drugiego, lecz ładunek zaciął mi się w magazynie i zanim zdążyłem go naprawić, zwierz uszedł. Zabiwszy potem jeszcze jednego ariela, około 10-ej wróciłem do obozu, gdzie już zastałem Hrabiego przy nakrytym do śniadania stoliku.

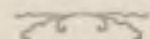
Była to moja ostatnia wycieczka myśliwska w Sudanie. Odtąd raz jeszcze tylko miałem sposobność użycia mego karabinka, jak się wkrótce przekonacie. Karawana wyruszyła z obozowiska w południe, my zaś w godzinę po niej, jak to było naszym zwyczajem w powrotnej drodze. Nie ujechaliśmy jednak 6-ciu wiorst, gdy spotkaliśmy mego służącego, Alego, w towarzystwie jednego z właścicieli wielbłądów, czekających na nas z wiadomością, że tuż obok na rzece zaległy cztery hypopotamy, z których jeden był nawet przed chwilą na lądzie. Zboczyliśmy tedy ze 200 kroków od drogi i podjechaliśmy do rzeki.

Brzeg w tem miejscu był na parę pięter wysoki, zkąd widać było lustrzaną powierzchnię Nilu. Rzeka w tem miejscu usłana jest całym archipelagiem drobniutkich wysepek ze stwardniałego iłu, wybielonych pomiotem ptaków, które widocznie zwykły tu swe syesty odbywać. W górę rzeki od tych wysepek woda tworzy rodzaj spokojnego basenu i to zapewne skłoniło hypopotamy do obrania sobie tego miejsca na siedzibę. Domyślać się też można było, że zgromadziły się tu widziane przez nas w Riguebie gruboskóry, zkąd je wypłoszyli uganiający się za rybami, krajowcy.

Poczekawszy chwilkę, ujrzeliśmy kolejno wszystkie cztery potwory, wynurzające się peryodycznie z wody. Jeden z nich odsłaniał nam swą wstrętną głowę nie więcej, jak w odległości 100 kroków i do tego zdecydowaliśmy się strzelać obaj razem na komendę. Przykląkłszy więc, z oparcia zmierzyliśmy do niego i Hrabia zwolna skomenderował: „Raz, dwa, trzy!" a oba strzały zlały się w jeden... Olbrzymia głowa zwolna zatonęła i jesteśmy dotychczas przekonami, jak również obecni przy nas ludzie, że zwierz otrzymał śmiertelny postrzał, gdyż od tej chwili, mimo skrupulatnego przeglądu całej okolicy, tylko trzy hypopotamy na powierzchnię wypływały.

Jeden z nich wynurzał peryodycznie swą głowę w blizkości przeciwległego brzegu, zatem na jakie 350—400 kroków od nas. Hrabia strzelił do niego przez lunetę, lecz kula uderzyła—w wodę o kilka kroków poza nim. Zwierz zanurkował, lecz po chwili ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że wypłynął w pobliżu miejsca, gdzieśmy pierwszego strzałami poczęstowali. Hrabia nie namyślając się, strzelił do niego, mierząc za ucho. Zwierz zwolna zatonął, a ludzie nasi stanowczo orzekli, że ugodzony został śmiertelnie.

(D. c. n.).



Gawędy starego myśliwego.

III.

Polowanie należy do tych najszlachetniejszych sportów, jakie najsilniej zakorzeniły się na świecie i jakie liczą najwięcej zwolenników wśród wszystkich warstw i stanów w społeczeństwie, dziwić się więc nie można, że sportowi temu hołdują tysiące jednostek młodych i starych, że najpoważniejsi nieraz ludzie wszystkie wolne od pracy chwile spędzają wśród lasów, pól i łąk ze strzelbą na ramieniu, że wreszcie w nowych sposobach polowania wytworzyło się sporo różnego rodzaju odmian, z których każda przedstawia sposobność do odmiennych wrażeń i przyjemności, przedstawia możność połączyć zamiłowanie sportu z zamiłowaniem do tej prześlicznej natury, którą jednocześnie ma się sposobność czcić i uwielbiać w różnorodnych, a zawsze cudownych jej fazach. Myśliwy bowiem jest to zawsze trochę dziecko natury, ze wszystkiemi jego zaletami, danemi mu wprost od Stwórcy, dziecko wolne od wielu wad i ułomności światowych. Myśliwy, znaczną część swego życia spędzając zdala od ludzi i cywilizowanego społeczeństwa ze wszystkiemi jego wadami i zaletami, stoi o wiele więcej od innych w obec tego pięknego świata, jaki Bóg stworzył a ręka ludzka jeszcze nie zmieniła. Myśliwy silniej od innych uczy się wierzyć w wielkość, dobroć, potęgę Stwórcy i w to wszystko, co tylko Kościół święty wierzyć nam nakazuje, to też sądzę, że myśliwy łatwiej od innych nabywać musi tych wszystkich gruntownych zasad, jakie cechują prawego człowieka, chrześcijanina i obywatela.

Z postępem czasu, zwiększającego się zaludnienia i innych wymagań ludzkich, znikły już bezpowrotnie dawne, wielkie obszary myśliwskie, zmieniły się o wiele poprzednie rodzaje i sposoby polowania, praktykowane przez naszych ojców, niemniej jednak i w teraz praktykowanych sposobach myślistwa doświadczyć można dużo różnych, a prawie zawsze przyjemnych wrażeń i jeżeli nie mamy możności przyjmowania udziału w łowach, pełnych niebezpieczeństw, na lwy, tygrysy, słonie i t. p., które tak barwnie i zajmująco opisuje pan Sztolcman, a do których rwałoby się serce każdego prawdziwego myśliwego-Polaka, to zawsze jeszcze zdarzyć się nam może sposobność doświadczenia swej zręczności i odwagi w spotkaniu z dzikiem lub niedźwiedziem, to i w różnorodnych polowaniach na niewinnego zwierza przytrafiają się różnego rodzaju zdarzenia i wypadki, które tem przyjemniejsze pozostawiają po sobie wspomnienie, że prawie zawsze ubarwione są tradycyjną jowialnością myśliwych, pełną humoru i dowcipu, a tak zgodną z naszym temperamentem i charakterem narodowym.

Jedno z polowań najwięcej przyjemnych i zarazem rozpoczynających sezon letni, jest polowanie na słonki, podczas ciągu tego ptactwa na wiosnę i w chwili rozbudzającej się z zimowego snu natury.

Nie wiem, czy znajdzie się chociażby jeden a prawdziwy amator-myśliwy, którby nie odczuwał i nie zapamiętał tego rozkosznego uroku, jakiego doznaje się w piękny wieczór wiosenny, wśród prześlicznej muzyki śpiewu i świergotania różnego rodzaju ptactwa, jakby żegnającego kończący się dzień nowego wiosennego życia i składającego Bogu hołd dziękczynny za Jego dary i opiekę. Kto nie zapamięta owego cudnego widoku zachodzącego słońca, którego ostatnie brzaski wśród zieleniejących drzew i zarośli tworzą obraz najpiękniejszy i najdoskonalszy, bo stworzony ręką natury i Naj-

---

dni swoich. Kłopoty, smutki, niedole zapomniane, w innym, gwieździstym świecie bujam.

I korzystam ze swobody.
Pókim zdrów i pókim młody
I czarowną żyję chwilą.
Póki cienie się rozchylą.

A cienie rozchylają się coraz bardziej. Szarawo już. Pogrążony w myślach, dochodzę do płotu gołej poręby. Wtem, nadeptuję na suchą gałązkę. Trzask! a za płotem szurgot, tentent, chwila ciszy—szczeknięcie łani—potem tentent coraz dalszy.

— A niech siarczyste... Spłoszyłem stado jeleni! Doprawdy trzeba pechu! Oczywiście wszystko przepadło, bo jelenie poszły w gąszcze! Też p...k...

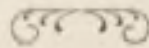
Na tem pięknem i wymownem wyrażeniu nagle utknąłem i... serce ze wzruszenia prawie bić przestało.

O jakie 500 kroków w dolinie na porębie przede mną ryknął gniewnie jeleń i to okrutnym basem. Ryczy!

— Dzięki, Święty Hubercie!

(D. c. n.).

Z. P.



wyższego jej Twórcy i Kierownika! Kto zresztą nie zapamięta tego miłego wrażenia, jakie sprawia posłyszany, charakterystyczny głos zbliżającej się słonki, a nawet i ten huk własnego lub sąsiedniego strzału, który wśród usypiającej natury, odbija się długiem, muzykalnem i zwolna zanikającem echem i w końcu ginie gdzieś w przestworach świata! Polowanie na słonki jest więc w myślistwie pewnego rodzaju poezyą, bo łączy w sobie nietylko liczne wrażenia i przyjemności tego sportu, ale i wywołuje zarazem wrażenia i przyjemności prawdziwego piękna i jakiegoś błogiego zadowolenia, które odczuwają się mimowolnie w otoczeniu i w zetknięciu się ze wspaniałą przyrodą.

Z powodu powiększającej się ludności, a więc i potrzeby większych obszarów ziemi, zajętych pod uprawę zboża, znikły stopniowo dawne przestrzenie lasów, błot i różnego rodzaju zarośli; liczne w kraju błota i niedostępne nawet trzęsawiska zamieniły się przeważnie w bujne łąki lub pastwiska, a wraz z postępem pracy i potrzeb ludzkich zmniejszyły się też i siedliska, w których różnego rodzaju zwierz dziki mógł żyć i mnożyć się swobodnie. Wśród takich warunków znikać musiały kolejno dawne, doskonałe, a prawie nieznane już dziś ciągi słonek na wiosnę, na które całemi gromadami udawali się myśliwi, zawsze pewni miłych wrażeń i obfitego łupu, i jeżeli obecnie są jeszcze miejscowości, na których ze słonką na ciągu spotkać się można, to do szczęśliwych należy już ten z myśliwych, któremu chociaż kilka sztuk tej zwierzyny uda się zabić. Przewidywać nawet można, że wiosenne polowanie na słonki stanie się z czasem zupełnie nieznane młodszemu pokoleniu myśliwych, i pozostanie dla nich już tylko wspomnieniem z minionych lat i życia ich ojców. A szkoda! bo z upadkiem polowania na słonki straci myślistwo jeden z tych cennych czynników, który, oprócz uroku naszego polowania budził w myśliwym nietylko miłość dla prześlicznej natury, ale i gorące uwielbienie dla jej Twórcy.

Jeżeli polowanie na słonki należy już do rzadkości w okolicach bezleśnych, więcej zaludnionych i nieposiadających odpowiednich dla tego ptactwa żerowisk, to jednakże są jeszcze miejscowości, w których ciąg słonek na wiosnę należy do zjawisk tak niezwykłych, o jakich naoczny tylko świadek może mieć dokładne wyobrażenie. Mówię tu o Litwie i Białorusi, nierzadko posiadających jeszcze ogromne przestrzenie lasów, błot i różnego rodzaju wód i zarośli, to też na przestrzeniach takich, a mianowicie na Białorusi, myśliwy spotkać się może jednocześnie z każdego rodzaju dzikim zwierzem, w krajach tych przebywającym, począwszy od niedźwiedzia, dzika i łosia aż do kaczki, dubelta i bekasa.

Mając bliską rodzinę na Litwie i Białorusi i wielkie zamiłowanie do polowania, niejednokrotnie robiłem dłuższe, myśliwskie wycieczki w tamte strony, a że polowanie na słonki przekładałem zawsze nad wszystkie inne, więc nie zrażała mnie stomilowa i dość uciążliwa podróż do gubernii mohilewskiej, ażeby tam namiętność myśliwską na lat kilka zadowolnić. A namiętność tę można tam było zaspokoić, bo nietylko ciąg słonek rozpoczynał się na początku miesiąca maja i trwał bez przerwy do końca czerwca, czyli przeszło przez sześć tygodni, ale i odbywał się najmniej przez godzinę po wschodzie i najmniej przez godzinę przed zachodem słońca. Wytrwały myśliwy miał więc codziennie przeszło trzy godziny doskonałego polowania, wśród którego rozkoszować się mógł do syta i niezwykłą obfitością zwierzyny i zawsze przecudnemi widokami natury.

Poprzestawałem na polowaniu wieczornem, jako więcej wygodnem, używałem prawie zawsze broni kapiszonowej, bo nie miałem cierpliwości na przygotowanie potrzebnej ilości ładunków do broni odtylcowej; strzelało się rozmaicie, bo i dobrego strzelca oko nieraz zawodzi, a pudło nie hańbi; zdarzały się wieczory mniej dogodne dla ciągu słonek, a pomimo tego nie wracałem nigdy do domu bez zabicia 12 do 20 sztuk tej zwierzyny, a w dni ciepłe, pogodne i wiele nawet więcej. Świetny ten rezultat polowania nie był jednak ani rzeczą nadzwyczajną, ani też zasług myśliwego niezwykle nie podnosił, bo strzelało się tyle razy, ile razy zdążyło się broń nabić; widok ciągnących w różnych kierunkach słonek, był najzupełniej podobny do widoku większej pasieki, w której tysiące pszczół odlatuje na poszukiwanie miodu lub z łupem wraca już do domu. Trzeba było na własne oczy widzieć ten obraz, ażeby o nim stworzyć sobie dostateczne pojęcie, trzeba było na własne uszy słyszeć ową rozkoszną dla myśliwego muzykę, powstałą z chrapania mnóstwa i w różnej odległości ciągnących słonek, przeplataną śpiewem innego ptactwa i cichym szmerem leśnym, ażeby muzykę tę zapamiętać na zawsze i odczuć całem sercem, jako śpiew natury, dany nam wprost od Boga.

Przez lat kilkanaście nie byłem już w tamtych stronach, i wątpię czy jeszcze będę kiedykolwiek, dzielę się więc drogiemi wspomnieniami z lat minionych z bracią w myślistwie, bo wiem z góry, że je przyjmą po bratersku.

Mówiąc o polowaniu na słonki, przychodzi mi na myśl i pewien, charakterystyczny epizod z tego polowania.

Szwagier mój, człowiek trzydziestokilkoletni i właściciel majątku ziemskiego na Białorusi, nie miał wcale zamiłowania do myślistwa, pomimo tego, że oprócz mnóstwa drobnej zwierzyny, posiadał w swych lasach i grubego zwierza, począwszy od niedźwiedzia, z którym nawet i po za lasem spotkać się było nie trudno. Ulegając jednakże namowie mego ojca, zamiłowanego myśliwego, chociaż już osiemdziesięcioletniego starca, szwagier mój wybrał się nareszcie na polowanie na słonki, biorąc strzelbę do ręki po raz pierwszy w życiu.

Przybywszy w zarośla nad brzegiem dużego lasu, rozeszliśmy się na obrane stanowiska, o jakieś dwieście kroków jeden od drugiego, a wskazawszy sobie kierunek tych stanowisk, zniknęliśmy wśród gęstwiny młodych świerków.

Zaledwie stanęliśmy na stanowiskach i zanim jeszcze odezwało się pierwsze chrapanie słonek, rozległ się strzał w stronie mego szwagra, a jednocześnie i przeraźliwy, nieustający krzyk człowieka, znajdującego się w największem niebezpieczeństwie i domagającego się ratunku.

Będąc jednomyślnie przekonani, że szwagier mój napadnięty został przez niedźwiedzia, pospieszyliśmy cwałem w kierunku powtarzającego się wciąż krzyku, zawadzając w tym biegu o krzaki i zarośla, szarpiąc na sobie odzież i kalecząc twarz i ręce. Dobiegamy do miejsca. Ojciec mój, starzec dość otyły, chwieje się prawie na nogach z przestrachu i zmęczenia. Wybiegamy nareszcie na małą polankę. Spostrzega nas szwagier i, nie przestając krzyczeć, ukazuje nam z dumą i tryumfem trzymanego w ręku, a zabitego przez niego zająca. Był to pierwszy jego strzał w życiu i pierwsza zabita przez niego zwierzyna.

W pierwszej chwili i pod wpływem przerażenia, nie mogliśmy zdać sobie sprawy z położenia, potem byliśmy prawie gotowi rozstrzelać ze złości owego fryca myśliwego, którego biegliśmy, jak opętani, wydobyć z pazurów niedźwiedzia, ale w końcu opanował nas śmiech pusty na widok poważnego człowieka, którego radość z zabicia pierwszego zająca doprowadziła prawie do chwilowego szaleństwa.

Od tego czasu szwagier mój stał się zamiłowanym myśliwym, a myślistwo musi być jednakże sportem wielce szlachetnym, skoro tak łatwo i prędko zyskuje sobie zwolenników.

Niechże sport ten miluje i uprawia młodzież nasza i bodajby młodzieży takiej było jaknajwięcej!

Szlachetność to cecha nasza narodowa, niech więc objawia się wszędzie i we wszystkich fazach życia młodszego naszego pokolenia, i to objawia się nietylko jako tradycya i spuścizna ojców, ale i jako chlubna, świetlna i przewodnia gwiazda przyszłości.

L. Laszcz.



Wyżły w Polsce.

(Dalszy ciąg).

Tu może na miejscu będzie bardziej szczegółowo przypomnieć jedną z poważniejszych prób zaprowadzenia u nas hodowli czystej krwi pointerów. Choć próba ta była chybiona, dała jednak pewne wskazówki na przyszłość i dla tego postaram się opisać ją o tyle dokładnie, o ile jest to możliwe z pamięci.

Przed 10-u mniej więcej laty (daty dokładnie nie pamiętam), Towarzystwo prawidłowego polowania, na wniosek kilku członków, postanowiło zaprowadzić psiarnię zarodową, z którejby członkowie Towarzystwa mogli po umiarkowanej cenie kupować rasowe szczenięta. Myśl w zasadzie była bardzo dobra, ale w wykonaniu jej, jak to zaraz zobaczymy, popełniono kilka omyłek, które całe to przedsiębierstwo doprowadziły do upadku. Kupno psów zarodowych postanowiono uskutecznić w psiarni ś. p. Emeryka Nowickiego, znajdującej się w chersońskiej gub., około stacyi kolejowej Nowo-Ukrainka. Psiarnia nowoukraińska nabyła w owym czasie wielkiego rozgłosu przez wystawienie w Moskwie czterech, importowanych z Anglii pointerów: suk *Aldin-Bell* i *Festal* i psów *Fell'a* i *Whesterhill-Doti'a*. Pierwsza z suk zdobyła na tej wystawie medal złoty i puhar dla najlepszego psa w oddziale wyżłów, trzy pozostałe dostały wielkie srebrne medale. Po przeprowadzeniu korespondencyi ze ś. p. Nowickim, Towarzystwo, polegając na jego wyborze, zakupiło od niego psa i dwie suki za ogromną cenę 800 rubli. Był to błąd pierwszy, gdyż przy takiem kupnie nie należało poddawać się wyborowi i ocenie sprzedającego; u tegoż samego Nowickiego daleko lepszy materyał hodowniczy można było nabyć za rb. 300. Pierwszy ten zawiązek zarodowej psiarni składały następujące egzemplarze:

1. Stara suka *Bell of North*, importowana z Anglii. Pochodziła ona widocznie z tej epoki, kiedy Anglicy starali się dodać swoim wydelikaconym pointerom więcej siły i mocniejszą kość przez domieszkę krwi francuzkich braków. Była to suka z dobrą kością, ale zbyt masywna i ciężka, z szeroką piersią, głową braka i grubym ogonem. Miała ona w sobie mało cech pointera i dlatego zapewne Anglicy odprzedali ją Nowickiemu. W Nowoukraince, jako matka, nie dała ani jednego, godnego uwagi potomka. Kupiono ję szczenną po *Fellu*.

2. *Laura*, trzymiesięczna suczka po *Aldin Bell* od *Fella;* bardzo ładna, w typie, który się wtedy ostatecznie wyrabiał, a obecnie jest ogólnie przyjęty dla wszystkich pointerów.

3. *Nazo of Russia*, półroczny szczeniak po psach lekkiego typu „Edge," który to typ sam Nowicki już zarzucał, nabywszy takich reproduktorów, jak wymienione wyżej dwa psy i dwie suki.

Jak więc widzimy, materyał hodowniczy był bardzo różnorodny i musiał dawać również różnorodne i w większości wadliwe potomstwo, podczas gdy zadaniem psiarni było produkowanie od psów jednego, ustalonego typu ładnych i praktycznych pointerów, a nie robienie prób nad wytwarzaniem jakiegoś typu średniego od tak niepodobnych do siebie egzemplarzy jak *Bell* i *Nazo*.

Drugim błędem ze strony Towarzystwa było to, że nabyło psy, nie mając dla nich gotowego pomieszczenia, ani odpowiedniego człowieka do dozoru. W pierwszym lokalu, w pałacu Blanka, trzymano je w niedużym pokoju, zaledwie parę razy na dzień i to na bardzo krótko, wypuszczając na dziedzińczyk. Po przeprowadzeniu się na ulicę Warecką, było jeszcze gorzej. Pomieszczono je na całą zimę w nieopalanej i zupełnie ciemnej wozowni. Psy na szczęście przezimowały zdrowo, stwierdzając przez to, że pointery nie są wcale tak delikatne, za jakie je uważają nieprzyjaciele psów angielskich. W końcu nareszcie znaleziono i wynajęto na psiarnię odpowiedni domek za rogatką Belwederską, lecz wtedy wyszła na jaw nowa niedogodność, mianowicie, z powodu utrudnionej kontroli, psy, a szczególniej odstawione szczeniaki były bardzo źle żywione, przez co nie mogły prawidłowo się rozwijać.

Rezultaty hodownicze, osiągnięte w pierwszym roku, były, o ile pamiętam, następujące: szczeniaki od *Belli* po Fellu, w liczbie trzech, zdechły wkrótce po urodzeniu. Tymczasem *Nazo* wyrósł i po nim od tejże *Belli*, już bardzo starej i wyczerpanej suki, urodziło się dwoje tylko szczeniąt i to z wadliwie wyrośniętemi pazurami, które trzeba było operować. Po tej próbie *Nazo* został sprzedamy (zdaje mi się za 25 rub.) p. Sz., u którego okazał się bardzo dobrym psem polowym, lecz wkrótce zdechł na wściekliznę. Co się stało z *Bellą*, nie pamiętam, choć zdaje mi się, że w lokalu na Wareckiej ulicy już jej nie było. Tak więc z nabytych za 800 r. trojga psów pozostała tylko *Laura* i dwa owe psiaki po *Bell* i *Nazo*. *Laura* wyrosła na prześliczną sukę, godną córkę *Aldin-Bell* i nieodrodną siostrę premiowanych w Moskwie złotemi medalami *Countes-Aldin*, *Rose of Russia* i *Fied'a*. U nas jednak nikt się na niej nie poznał; patrzano na nią, jak na pointerkę niczem się nie odznaczającą i w ogóle wyżej ceniono *Nazo*, ładnego, lecz dość pospolitego psa.

Tłómaczy się to przyzwyczajeniem naszych myśliwych do pointerów dawniejszych typów, podczas gdy *Laura* należała do nowego, w owym czasie dopiero ustalającego się typu.

(D. n.).

August Sztolcman

Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

przez

Jerzego Kocha.

Tłómaczył z niemieckiego J. Kraszewski

(Dalszy ciąg)

ROZDZIAŁ VIII.

Strzelby bezkurkowe, odwodzące się automatycznie, z bocznymi zamkami. Konstrukcye Murcott'a i Scott'a. Bezpiecznik Scott'a. Przyrząd dla ulatniania się gazów niepotrzebnych. Charles Lancaster, broń jednocynglowa z eżektorem. Konstrukcye Bartsch-Liquica. F. von Dreyse-Sömerda. J. P. Sauer i Syn w Suhl. Kessler-Suhl. Lene i Knoll w Liege. Thieme i Schlegelmilch w Suhl. Simpson i S-ka w Suhl.

Powody techniczne, które skłoniły fabrykantów do zaprowadzenia bocznych zamków u nowszych i najnowszych strzelb, automatycznie się odwodzących, omówiliśmy już w przeszłym rozdziale; dodamy jeszcze, że odznaczają się one tą dogodnością, iż można, po odśrubowaniu bocznych ścianek, skontrolować cały ich mechanizm co do czystości, funkcyonowania poszczególnych części i t. p. Fig. 53 przedstawia nam zewnętrzną budowę broni bezkurkowej, automatycznie się od-



Fig. 53.

wodzącej, opatrzonej w boczne zamki, podobne do zamków perkusyjnych. Wynalazek ten i jego zastosowanie nie jest tak nowe, bo system podobny zastosował już w 1871 roku Murcott u swych broni.

Także strzelba „Scotta," patentowana w 1878 r., miała boczne zamki, montowane na blaszkach zamkowych, nieróżniące się w niczem od konstrukcyi perkusyjnej broni. Położenie sprężyny spiralnej, jako i sprężyny spustowej, również kierownika jest takie same, jak u zamków perkusyjnych. Walec, czyli kółko sprężynowe, zastępujące paleczkę, jest zaopatrzone w dwa spusty, a mianowicie w spust kierownikowy i odwodowy. Obydwa spusty są umieszczone w tylnem ramieniu kółka sprężynowego; w poprzek przecinają baskilę dwa drążki, zaopatrzone w spusty. Przy otwieraniu strzelby wpadają w owe spusty haczyki,

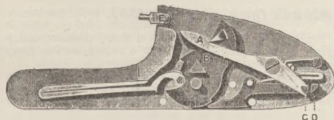


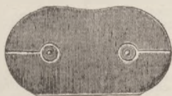
Fig. 54.

umieszczone pod lufami; manewr ten zmusza kółka sprężynowe zamków do posunięcia się naprzód.

U innych systemów drążki działają przeciwnie, nie posuwając kółek sprężynowych naprzód, lecz cofając je w tył. Mechanizm ten jest dla swej trwałości o wiele lepszy i praktyczniejszy.

U nowych modeli strzelb Scotta widzimy zamek perkusyjny czystej wody z zabezpieczeniem paleczkowem (*Schlagstucksicherung*). Przy odwodzeniu zamków chwyta dźwignia *A*, poruszająca się na blaszce zamkowej, a działająca za pomocą sprężyny, umieszczonej przed sprężyną spustową, swem haczykowatem przedniem ramieniem za ząb paleczki *B* i unieruchomia ją tym sposobem.

Tylne ramię *C* natomiast przysuwa się przy pociągnięciu cyngla do kierownika *D* i zwalnia przez to


Fig. 55.

paleczkę z uwięzi; choć i tutaj zdarzają się wypadki niefunkcyonowania sprężyn lub wytarcia się zęba.

Inna nowość u strzelby Scott'a, to przyrząd przeszkadzający ulatnianiu się gazów prochowych, gdy kapiszon wadliwy, i wciskania się tychże do wnętrza zamków (Fig. 55). Jest to płyta stalowa, przyśrubowana do denka baskili, zaopatrzona w dziurki dla paleczek, stosowne okrągłe wgłębienie dla kapiszonów; z wgłębienia tego prowadzi rodzaj rynny na zewnątrz, przez którą gazy uchodzą. Prawdę powiedziawszy, jest to ostrożność przy obecnej technice broni zupełnie zbyteczna, ale od czegóż pomysły angielskie!

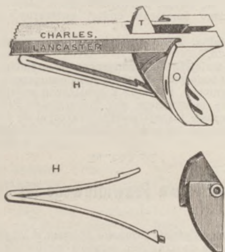


Fig. 56.

Charles Lancester, w Londynie, skonstruował automatycznie się odwodzącą, strzelbę o jednym cynglu; za pociągnięciem tegoż można dowolnie strzelać wprzód z prawej lub lewej lufy. Nie opisujemy bliżej tej konstrukcyi, jako niepraktycznej i nie cieszącej się powodzeniem. Natomiast konstrukcya eżektora, złożonego tylko z dwóch części, zasługuje na szczegółowy opis.

Fig. 56 przedstawia nam zarys tego systemu.

(D. c. n.).

Ze Szkocyi.

Dzierżawy polowań w Szkocyi obecnie tak zdrożały, że średniozamożny przemysłowiec nie może sobie pozwolić na dzierżawę choćby małego rewiru.

Jeszcze przed kilkunastu laty dzierżawy były tanie, ale dziś, gdy para grousów dochodzi na rynkach do ceny 20 szylingów, konkurencya jest ogromna między licytującymi. Zwłaszcza w tym roku można to było zauważyć. Mokradła i pola szkockie roją się od tego gatunku kuropatw.

Bogaty Anglik płaci za dzierżawy rewirów drogo, bacząc na przyjemność i zdrowie i w dodatku na pyszne wrażenia i krajobrazy w Szkocyi.

Rewiry wydzierżawiane są zwykle tylko na rok, ale co rewir na tem cierpi, to Bogu jednemu wiadomo, bo właściciel jego stara się, o ile możności, wybić czynsz dzierżawy w sezonie, nie dbając o to, czy do szczętu wyniszczy zwierzynę, lub nie.

P. E. v. Br. pisze w „H. J. Z." z oburzeniem o tem wybijaniu szlachetnego gatunku zwierza i przez ludzi mało się znających na łowiectwie, a patrzących tylko na zysk.

Przybywa tam także mnóstwo myśliwych z Niemiec i Francyi w celu dzierżawienia rewirów i wynajmuje pyszne domy myśliwskie. Sezon trwa od sierpnia do listopada, a ceny wynoszą w stosunku do obszaru 6000—100,000 koron na sezon. Oczywiście są i tańsze rewiry, gdzie się mało spotyka grousów i mniej innej zwierzyny.

Bogatsze rewiry są zaopatrzone w domy myśliwskie, z komfortem urządzone, ze światłem elektrycznem i. t. d. Najbardziej ulubione rewiry są w hrabstwach Perthshire, Juwerness, Rors i Sutherland, gdzie oprócz grousów jest obfity zwierzostan jeleni, a przytem mnóstwo ryb, które się łowi na wędkę. Na grousy polują w rozmaity sposób, jedni z wyżłem, drudzy z naganką; ten ostatni sposób przeważa, bo łatwiej odstrzeliwać stare koguty. Naganiaczom płaci się 4 szyling! na dzień i daje utrzymanie.

Dla myśliwych, niemających własnych psów, są zawsze gotowe psy u leśniczych do dyspozycyi za cenę około 360 koron na sezon.

Rewiry jelenie są nadzwyczaj drogie. Szkocya posiada ich mniej więcej 150 w obszarach 6—8000 morgów, położonych w najpiękniejszych górzystych okolicach. Rogi są przeważnie pięknie rozwinięte i operlone.

Wracając do grousów, to w tym roku była ich wielka obfitość, tylko że nie dotrzymywały; miejscowi myśliwi przypisują to silnym wiatrom i burzom, które tam panowały. Jednakże rezultaty były niezłe, bo goście księcia Devonshire zabili jednego dnia w dziewięć flint 1055 sztuk, rozkład, jakiego nie pamiętają od trzydziestu lat.

Z POZNAŃSKIEGO.

Polowanie na kuropatwy, pisze korespondent z dóbr Krotoszyńskich księcia *Thurn i Taxis* już prawie zakończone. Ogołocone pola nie dają im schronienia; to też z końcem miesiąca października, a tembardziej w listopadzie zaniechać wypada polowania na kuropatwy, by dalekiemi strzałami ich nie ranić, bo na gołych polach już o tej porze nie dotrzymują, zrywają się Bóg wie, jak daleko, a niejeden strzelec nie ma tyle zimnej krwi, by nie ryzykować strzału. Skutki tego są zgubne, bo raniona zwierzyna powoli zanika.

W naszych rewirach, pisze nadleśny dóbr Krotoszyńskich, p. Müller, stan kuropatw był w tym roku bardzo lichy, to samo w sąsiednich rewirach. Wczesny ląg wypadł dobrze, bo przy rozpoczęciu sezonu pisklęta były już zupełnie wyrosłe, późniejszy ląg był nędzny dla lichego powietrza. To też postanowiono, by w tym roku jaknajmniej w naszych dobrach odstrzeliwać kuropatw. Bażanty także nie dopisały; swoją drogą uważam za racyonalne, by koniecznie odstrzeliwać nadliczbowe koguty bażancie i unormować stosunek płci.

Cietrzewi w rewirach naszych jest nie wiele; toteż otaczamy je jaknajtroskliwszą opieką.

Przepiórek już się u nas prawie wcale nie widuje. Błotniaki pokazały się w przelocie kilka razy, śmiało uderzając na zrywające się kuropatwy, i to do tego stopnia, że krążyły po nad strzelcem, czekając rychło-li pies wypłoszy stado.

Czaple są w naszej, nieobfitującej w jeziora okolicy rzadkiem zjawiskiem; słonki przelatują dość licznie w pierwszej połowie października, a nawet i wcześniej.

Zwierzostan sarn, choć jest ich w naszych rewirach mnóstwo, wykazywał w tym roku wiele braków pod względem kształtu rogów. Czemu to przypisać, nie wiem, bo w naszych rewirach hodowla jest wzorową. W końcu września przybył do swych dóbr Krotoszyńskich książę Thurn i Taxis na rykowisko jeleni i zabił ich 15, nie licząc tego, co ubiła świta.

Zwierzostan zajęczy jest dobry, królików coraz mniej, dzięki wolnemu na nie polowaniu.

Korespondencye „Łowca Polskiego.“

Antoniny (gub. wołyńska) *w październiku.*

Tegoroczny zjazd myśliwych u hrabiostwa Józefostwa Potockich w Antoninach, na Wołyniu, jest bardzo ożywiony. Przybyło dużo gości, a w ich liczbie, sporo znanych w kraju sportsmenów, jak Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Borys Włodzimierzowicz, książęta Lubomirscy, Czetwertyński, Radziwiłł, hrabiowie: Pourtalès z Paryża, Roman Potocki z Łańcuta, znany sportsmen austryacki hrabia Karol Kinsky z małżonką, hr. Juliusz Tarnowski, Cezary Stadnicki, pp. Sobańscy, hr. Giżycki, generał Stempel, pan Dachowski, pułkownik Pawłow oraz delegowani przez Jego Cesarską Wysokość Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza ze szkoły kawaleryjskiej z Petersburga: książę Bagration i pułkownik von Wolf.

Polowania, przeto przy sprzyjającej pogodzie, odbywają się prawie codziennie z biglami, już to na grubszego zwierza, ku czemu sprowadzona została nowa meta psów, już na zające, z dawną metą, lub wreszcie z bronią na bażanty w pięknej i uroczej bażantarni Wolickiej. Polowania na daniele, w których brały udział i damy, wypadły świetnie, wszystkie daniele bowiem chodziły dzielnie, gdyż od 15 do 22 wiorst, a nowa meta popisywała się bardzo dobrze, również i meta zajęcza nie pozostawiała nic do życzenia.

W bażantarni, jak dotąd, odbyły się dwa polowania, na pierwszem z nich w dniu $^{2}/_{14}$ października w sześć fuzyj zabito: kozłów 3, zajęcy 38, królików 28, bażantów 333 i słonek 6, czyli razem sztuk 408; na drugiem zaś polowaniu w dniu $^{10}/_{22}$ października w sześć fuzyi zabito: kozła 1, zajęcy 16, królików 24 i bażantów 378, słonkę 1, jastrzębia 1, sów 2 i 1 kszyka, razem szt. 424, a w ogóle 832 sztuki.

Próbowano także w parę fuzyj w lesie Czerniatyńskim polowania na dziki, lecz że w obecnej porze, trudno ich było wcześniej otropić, skończyło się więc na ubiciu jednego dzika przez księcia Czetwertyńskiego, 3 rogaczy, jednego lisa i 7 zajęcy. Pomiędzy rogaczami był jeden nadzwyczaj rzadki okaz, bo srokaty (białe łaty z szarem) i padł z ręki hrabiego Pourtalesa z Paryża.

W polowaniu na bażanty brali udział: Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Borys Włodzimierzowicz, który był królem polowania, książęta Czetwertyński, Lubomirscy, oraz hrabiowie: Roman i Józef Potoccy, Kinsky, Pourtalès, J. Tarnowski i Sobańscy.

Jakkolwiek wiosna tegoroczna, zwłaszcza dla dzikich bażantów była bardzo niesprzyjającą, z powodu ulew po ich wylęgeniu, przez co prawie wszystkie młode przepadły, to jednak z bażantów wychowywanych sztucznie, które również dużo ucierpiały, rezultat był wcale niezły, czego dowiodły dwa powyższe polowania. Na trzeciem wypadnie prócz kogutów, odstrzelić jeszcze i większą ilość kur, bo stosunkowo jest ich już zawiele.

Artur S.

Słowik (gub. piotrkowska). *w listopadzie.*

Przebywając od dłuższego czasu w tej miejscowości, powziąłem zamiar napisania paru słów o zwierzynie i tutejszych stosunkach łowieckich.

Zwierzynę mamy tutaj nie tyle obfitą, ile rozmaitą; lwia część przypada, rozumie się, na zające i kuropatwy; szczególniej te ostatnie, pomimo niesprzyjającego lęgu, rozmnożyły się dość licznie, tak, że trafiają się stadka kuropatw do 10 — 18 sztuk w jednem. Przepiórek było mało. Charakterystyczne ich „pudźcie żąć“ rzadko dawało się słyszeć (są to skutki masowego tępienia tych ptaków na południu). Cietrzewie licho tokowały, aczkolwiek luk w przyroście nie widać. Z błotnego ptactwa kaczki w tym roku nie dopisały. Zmniejszenie ich liczby tłómaczy się osuszaniem bagien, a głównie niszczeniem gniazd i wybieraniem jaj przez tutejszych chłopaków. Z odmian spotykało się przeważnie krzyżówki, cyranek bardzo mało. Za to bekasy (kszyki) pojawiły się „en masse“ w całem tego słowa znaczeniu. Przeciętny myśliwy przy pomocy wyżła ubijał po kilkanaście sztuk dziennie (a wiadomo, że strzał do kszyka nie należy do łatwych). W sierpniu ubite sztuki, były formalnie oblane tłuszczem. Gęsi pojawiały się tylko przelotne; ciągnęły stosunkowo bardzo nizko nad ziemią, co podług tutejszych włościan ma być nieomylnym prognostykiem „lutej“ zimy.

Warunki widocznie sprzyjają przyrostowi zwierzostanu i zwierzyny byłoby poddostatkiem, gdyby nie to, prześladujące wszystko bez wyjątku miejscowości... kłusownictwo.

Kłusownik tutejszy nic sobie z nikogo nie robi. W biały dzień poluje na cudzych gruntach z dobrą stosunkowo fuzyą, gdyż bliskość granicy ułatwia mu przemycanie zagranicznych broni i amunicyi.

Na dowód zuchwałości kłusownika przytoczę następujące fakta:

1. Gajowy lasów ks. S..., obchodząc swój rewir, został na drzewie kłusownika, czatującego koło lizawki na sarny. W odpowiedzi na interwencyę gajowy usłyszał przeciągły gwizd i w tejże chwili ujrzał drugiego kłusownika, wyłaniającego się z pod krza. Odwiódłszy zamki, drugi kłusownik oświadczył, że będzie strzelał, jeśli gajowy nie pozwoli jego kompanionowi zejść z drzewa. Połączywszy się razem, kłusownicy opuścili las bezkarnie i najspokojniej w świecie zaczęli polować na sąsiadujących z lasem łąkach.

2. Dbający o swój zwierzostan, właściciel majątku W..., zainteresowany pewnego dnia strzałami, wysłał rządcę z kilkoma fornalami dla przekonania się, kto w obecnej porze poluje, i ujęcia sprawców. Zastano trzech kłusowników, którzy zoczywszy, co się święci, z ubitym zającem umykali co sił; na szczęście poznano amatorów cudzej zwierzyny i zaskarżono ich do sądu.

Są to fakta, które w tutejszej miejscowości powtarzają się za często.

Kończę niniejszą korespondencyę wezwaniem tutejszych pp. myśliwych-hodowców do jaknajenergiczniejszego prześladowania kłusownictwa, i łącznie z nimi żywię nadzieję, że plaga ta zniży się do minimum, gdy Towarzystwo Prawidłowego Myśliwstwa, w czasie jaknajkrótszym, przyczyni się do obostrzeń co do bezprawnego, na cudzych gruntach, polowania.

Alfons Krajewski.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, d. 28 października. Postanowiono dla zaokrąglenia terenów myśliwskich na Osiecku zadzierżawić prawo polowania na gruntach włościańskich wsi: Ponurzyce, Stara Huta, Stare Kościeliska, Natolin, Hu-

ta Anglia-Łucznica, Sewerynów, Gosław i Krystyna. Ogólna przestrzeń tych wsi nie przenosi kilkunastu włók, jednak potrzebne ono są dla całości terenu.

Postanowiono zakupić 4 strzelby dla straży leśnej.

Ponieważ § 8 regulaminu ogólnych polowań zimowych uznany został jako niezupełny, postanowiono go przeto zmienić i w tym celu prosić Radę o przedstawienie tego wniosku na Ogólne Zebranie, ono bowiem tylko jest prawomocne wprowadzać w nim zmiany.

Posiedzenie Rady, d. 30 października i 6 listopada. Na pierwszem posiedzeniu postanowiono zwołać nadzwyczajne Ogólne Zebranie członków w celu wybrania Delegacyi Wyborczej, która z dniem 1 stycznia kończy swoją kadencyę. Do Delegacyi Wyborczej należy wybrać 20 członków i 6 kandydatów. Na temże Ogólnem Zebraniu dokonany ma być wybór Komisyi Rewizyjnej.

Firma „Łucznik Polski", pana Ninsztejna, wystąpiła z projektem, aby nasze Towarzystwo utworzyło rodzaj premium na zabijanie z łuku drapieżników. Projektodawca chce, aby za 10 par skrzydeł zabitych z łuku drapieżników, Oddział nasz dawał darmo łuk i sześć strzał. Od cen swojego cennika p. Ninsztejn dla naszego Oddziału chce zrobić znaczne ustępstwa. Rada, naturalnie, propozycyi p. N. nie przyjęła, bowiem takie ćwiczenie w strzelaniu zwierzyny z broni cichej, na którą nie potrzeba wyjednywać pozwolenia, mogłoby się najgorzej odbić na zwierzostanie. Kto mógłby skontrolować, czy strzały wypuszczane przez współczesnych łuczników, godzą tylko w drapieżniki? Czy nie łatwiej byłoby strzelać z łuku upatrzone zające lub kuropatwy na śniegu, aniżeli ukrytego w liściach kobusa? Niechaj łuk pozostanie w dziedzinie sportu: tarcza winna być jedynym jego celem. Tak jest zagranicą, gdzie wznowiono sport łukowy; nie idźmy za daleko w tym kierunku i nie wyprzedzajmy Europy.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, dnia 12 listopada. Postanowiono w tym sezonie zimowym urządzić cztery polowania dla członków Oddziału, z których trzy po 25, a jedno na 17 strzelb. Pierwsze polowanie odbędzie się w obrębie Pogorzel 7 grudnia, drugie—w Łuczyicy 14 grudnia, trzecie—na Augustówce 4 stycznia p. r., a czwarte — na polach i w lasach hr. Jezierskiego 11 stycznia p. r. Zapisy przyjmować będzie kancelarya Oddziału do 25 listopada włącznie. Równocześnie z zapisem składać należy po 5 rub. na koszta polowania. Przy zapisywaniu się na polowanie należy przedstawić kwit z opłacenia składki członkowskiej za bieżące półrocze.

Porządek dzienny Ogólnego Zebrania, które się odbędzie w d. 27 b. m. jest następujący: 1). Odczytanie protokołu ostatniego Ogólnego Zebrania. 2). Ustanowienie etatu dla Zarządzającego terenami myśliwskiemi Oddziału. 3). Wniosek Członków Oddziału, dotyczący kosztów technicznego urządzania polowań zimowych. 4). Kwestya dotycząca dzierżawy polowań w Czerniakowie i Siekierkach. 5) Kwestya dotycząca nowej redakcyi § 8 regulaminu polowań. 6). Zatwierdzenie instrukcyi dla Komisyi Wyborczej. 7). Wybór 3-ch członków i 2-ch zastępców do Komisyi Rewizyjnej. 8). Wybór 20-u członków i 6-iu zastępców do Komisyi Wyborczej.

Drobiazgi Myśliwskie.

Ryś. We wrześniu b. r. w gub. kijowskiej, w lasach rządowych (10,000 dz.) w pobliżu miasteczka Dymir, zabił włościanin tamtejszy rysia. Na razie wzięto zabitego rysia za tygrysa i dopiero miejscowa władza policyjna stwierdziła gatunek zwierza. Ryś widocznie zabłąkał się z gub. mohylowskiej i padł rychło z ręki chłopka. Czegoby nasz chłopek nie wypatrzył i nie upolował?

Tok cietrzewi. Ponieważ tok cietrzewi w jesieni uważany jest za rzecz niezwykłą, a nawet zapytywano co do tego objawu o objaśnienie w „Łowcu Polskim," przeto podaję tutaj, że za ostatnią moją bytnością w lasach Ks. hr. Branickiego na Polesiu kijowskiem, słyszałem właśnie tokującego cietrzewia dnia 28 października o godz. 8½ rano. Cietrzew tokował tak zawzięcie o jakie 120 do 150 kroków, że moje i mego towarzysza nawoływanie straży wcale mu gry nie przerwało. Ponieważ byliśmy zajęci szacowaniem obok położonych drzewostanów, więc dłuższy czas jeszcze tok słyszeliśmy, a następnie widzieli odlatującego, młodego ptaka. Więc widocznem jest, że zwykle młode cietrzewie tokują w jesieni, a nie stare przy stadach, jak to sądzą niektórzy. *W. S.*

Nieboszczyk w lesie. Dnia 4-go listopada b. r. w lesie Chojnowskim, natrafił gajowy, zajęty przy kulturach, na świeże zwłoki młodzieńca. Po bliższem badaniu sprawy okazało się, że zmarły, 17-letni Jan Karaluch, jest synem Jana Karalucha, stróża z cegielni Chylice i że nieboszczyk cierpiał za życia na rozstrój umysłowy. Ponieważ Jan Karaluch jun., jak następnie stwierdzono, był dnia 3-go b. m. rano w Warszawie przy rogatkach mokotowskich, więc napewno twierdzić można, że śmierć zaskoczyła biedaka z niedzieli na poniedziałek, prawdopodobnie z ogólnego wycieńczenia, gdyż już 6 dni upłynęło, jak wyszedł z domu bez środków do życia.

Jestto w Chojnowie już drugi wypadek w tym roku (pierwszego nieboszczyka znaleziono d. 22 stycznia b. r.), tem dziwniejszy, że miejsca tragicznych wydarzeń są w pobliżu. Po urzędowej komisyi dn. 6-o zwłoki wydano rodzinie.

Z sezonu kuropatwiego. „Hugos J. Ztg." donosi, że stan kuropatw na Węgrzech był w r. b. bardzo dobry. Np. w dobrach hrabiego Karolyi zabito jednego dnia w siedem strzelb 2311 sztuk. Toż samo pismo donosi, że w czasie rui sarn zabił pewien myśliwy w komitacie Fiuma wilka, wabięc rogacza. Wilk widocznie myślał, że odzywa się sarna i podszedł blizko do strzelca.

Z Bawaryi piszą, że tamże rykowisko jeleni rozpoczęło się około 4-go października. Rezultat polowań był wszędzie dobry.

Cesarz Franciszek Józef na polowaniu. Cesarz Franciszek,—czytamy w piśmie „Weidman",—spędza rok rocznie miesiąc lipiec i sierpień w Ischl, w tej perle Salzkamergut'u. Nic zmienia on tam wcale swego trybu życia. Jak w Wiedniu, tak i tam wstaje ze słońcem, przerzuca gazety, udziela audyencyi, poczem udaje się na polowanie, nie na kuropatwy lub zające, lecz na szlachetnego zwierza, mianowicie na jelenie, kozice lub głuszce. Cesarz pomimo podeszłego wieku, chodzi po górach po kilka godzin, a strzela bardzo celnie. Od 1856—1897 r. zabił cesarz Franciszek Józef 1243 jeleni, 1730 kozic, 406 głuszców i 115 rogaczy.

Ze Styryi. Polowanie na zające, kuropatwy i bażanty jest w tym roku w Styryi świetne, zwłaszcza bażantów wylęgło się w tym roku bardzo wiele, a pisklęta dobrze i zdrowo się wychowały i wyrosły, tak, że się je spotyka w każdym zagaju i polach kukurydzowych.

Z Turyngii piszą do „Dt. J. Ztg.", że nad miastem Schmalkalden przelatywało 10-go października około 200 żórawi w kierunku południe-zachód.

Z Poggio Mirteto (Sabina) donosi dr. Ohlsen do „Dt. J. Ztg.", że tamże skonfiskowano na parowcu *Po* 100,000 przepiórek, które już uległy zepsuciu. Parowiec zdezinfekowano. Oto nowy przykład chwytania w sieci tych cennych ptaków na północnem wybrzeżu Afryki i Sycylii. Cały fracht był przeznaczony dla smakoszów Anglików.

Łosie w Rosyi. Ze Smoleńska piszą do pism niemieckich, że zwierzostan łosi zmniejsza się tam w zastraszający sposób. Powodem tego liczne nowe linie kolei i kolejek, przerzynających lasy; łoś wędruje dalej w spokojne strony i to nie po kilka sztuk, ale setkami w stadach.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

Kółko Maleszewskie polowało pierwszy raz w r. b. d. 4 listopada na Maleszowie w 16 strzelb, zabito 62 zające i 2 lisy.

Treść Nr 22 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

W lecznicy dla zwierząt Aleja Jerozolimska № 41 ordynujący lekarz weterynaryjny, I. Koziołkiewicz, udziela porady weterynaryjnej codziennie od godziny 10 rano do 12 poł. za opłatą po 30 kop. od każdego zwierzęcia. Biedni właściciele zwierząt z porady korzystają bezpłatnie.

OGŁOSZENIA.

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie, w składzie Chruścińskiego, za Żelazną Bramą w Gościnnym Dworze, płacono ceny następujące:

	Kupowano	Sprzedawano	
Sarninę	—.10 k	—.20 k	funt
Zające	.70 k	1.00 k.	sztuka
Kuropatwy			
młode	.90 k.	1.20 k.	para
stare	.80 k	1.00 k	para
Bażanty			
koguty	1.50 k	2.50 k	para
kury	—.— k.	—.— k	para
Kaczki dzikie			
krzyżówki	.90 k	1.20 k	para
cyranki	.80 k	1.00 k.	para
Kwiczoły	12.00 k	15.00 k.	kopa
Jarząbki	.90 k	1.20 k.	para
Cietrzewie	1.20 k.	1.50 k	para
Dubelty	.90 k	1.20 k	para
Słonki	1.50 k	2.00 k.	para
Przepiórki	— k	—.— k	sztuka
Jamiołuszki	—.— k	—.— k.	kopa

Berlin, 6 listopada. (*Sprawozdanie urzędowe dla hurtowników*). Płacono: Rogacze 0,40 - 0,60, jelenie 0,30 - 0,40, daniele 0,25 — 0,50, dziki 0,15—0,35 za funt; zające 1,50—3,50, króliki 0,50 - 0,80, krzyżówki 1,00—1,50, kuropatwy 0,70 - 1,30, cyranki 0,30—0,50, bażanty (koguty) 1,00—2,75, słonki 2,50 — 3,50, bekasy 0,30 — 0,50, kwiczoły 0,25 — 0,30 za sztukę.